

Anna Krysztofiak

Muzyczne wspomnienia z Quanzhou.

Usiadłam do pisania na tradycyjnym zydelku w mojej typowo polskiej chatce. Swojskie marcinki wygięły wieczorne łodygi w kierunku kapliczki, a pies namawiał mnie spojrzeniami: „pójdźmy na kanapę, napiszmy ten tekst razem, pod ciepłym kocem!”. Zacerpnęłam łyk wspaniałej herbaty *Da hong pao*, z gór Wuyi. Aromat rozlał się aksamitem po podniebieniu, a spływając nappełnił ciało tropikalnym żarem i wspomnieniami. Poczułam melancholię i zew podróżnika. Od razu wszystko mi się przypomniało. A było tak.

Nie wiedząc nic o boskich zamiarach wybrałam się do starej herbaciarni, pachnącej wiekowym drewnem i przesiąkniętej herbatą. Chciałam jak zwykle, posłuchać muzyki *nanguan*. Dopiero co po południu wylądowałam w chińskim Quanzhou, a już wieczorem poszłam do miejsca sąsiadującego ze świątynią Konfucjusza. Pokazałam się tam po roku przerwy, co nie umknęło uwadze "klubowi wujów", tj. grupie najstarszych bywalców tutejszych koncertów. Quanzhou jest niekwestionowaną stolicą kultury minnańskiej (kultury Południowego Fujianu), której najbardziej żywotnymi elementami jakie przetrwały czystkę rewolucji kulturalnej są: język minnański, tradycyjne kultury religijne (szczególnie kult Mazu) i muzyka *nanguan*, którą tutaj nazywają *nanyin*. Herbaciarnia, w której przysłuchiwałam się solistkom lokalnego zespołu, jest jednym z ostatnich takich miejsc.

Do niedawna istniały w otoczeniu jeszcze cztery podobne sceny oraz szkoła *nanguan*, w której grano codziennie. Skasowano je. Tymczasem, do domu herbaty, który zdaje się być ostatnią już w mieście świątynią chińskiej muzyki dawnej, muzyki o szlachetnych korzeniach sięgających dynastii Song, włamuje się otwartymi drzwiami bezrefleksyjna muzyka do aerobiku, dobiegająca na cały regulator z pobliskiego placu. Jakby chciała nas wszystkich stąd wyprzeć, wygonić z własnego domu. Motoryczne rytmy ranią jedwabistą strukturę muzyki *nanguan*, zazębiając się z nią, a momentami zagłuszając. Ani dla mnie, ani dla zgromadzonych nie jest to sytuacja do zaakceptowania. Z przekąsem patrzymy na ukwieconą zieleń miejską, która pojawiła się szeroką wstęgą o wielokilometrowej długości z Quanzhou do Jinjangu, podobno aż za 36 mln chińskich yuanów. W tym samym czasie zamknięto maleńką, ostatnią szkółkę *nanguan*.

Świadomi schyłku i upadku czasów w których żyjemy (o czym już stary Konfucjusz grzmiał), siedzieliśmy wszyscy – ja, „klub wujów” i kilku gości z aparatami fotograficznymi – pochłonięci i zahipnotyzowani powolnymi dźwiękami, rozwijającymi się przed nami stopniowo, na kształt obfitych pąków peonii. Ślimacznice bogato zdobionej acz linearnej melodii leniwie wypuszczały

swe kiście ku publiczności. Niektórzy dziadkowie nie mogąc powstrzymać emocji, cicho snuli do siebie pieśń, a wszyscy z nas zatracili się w nieskończonych, lirycznych meandrach melizmatów. Był lipiec, najgorętszy miesiąc. Wiatraki pracowały na najwyższych obrotach. Efektem połączenia statycznej muzyki i upału był rodzaj zbiorowej hipnozy.

Ów stan medytacji, zatrzymania się nad pięknem i melancholią, przerwała mi prozaiczna potrzeba wyjścia na zaplecze. Znam ten budynek od lat, a jednak o dziwo zbłądziłam w jego wąskich korytarzach i amfiladowych pomieszczeniach. Zamiast trafić do celu przeznaczenia, znalazłam się w nieznanym mi wcześniej miejscu, po drugiej stronie herbaciarni, na dziedzińcu kolejnego budynku. Tego przejścia wcześniej nie znałam. Stałam szczęśliwie zaskoczona. Moim oczom ukazały się rzędy lutni *pipa* i wielka gromada innych instrumentów do *nanguan*: flety *xiao*, skrzypce *erxian*, *sanxian*, itd... Byłam w warsztacie pana Adu, a zaraz obok znajdowała się pracownia pana Li. Czy to możliwe? Zupełnie zniecka los wyprzedził moje działania i w tej chwili nieoczekiwanie natknęłam się na to, czego dopiero planowałam szukać. Celem mojej tegorocznej podróży miała być nauka gry na lutni do *nanguan*.

W tle nadal wiły się transowe melizmaty dobiegające ze sceny, znajdującej się za kilkoma pomieszczeniami.

Teraz jednak odurzałam się czymś innym: widokiem i dotykiem szlachetnych instrumentów. Szerokie biodra czarnych lutni *pipa*, o kształcie wielkiej, krągłej łyzy, wyglądały zachwycająco. Wyróżniał je nie tylko kolor. Bardziej jeszcze – ich archaiczna konstrukcja wywodząca się aż z dynastii Song, oraz specyficzne wykończenie. Szylkretowe progi połyskują złocistymi pręgami, a w nich drzemie przyczajony tygrys. Gdy progi zamieniają się z płaskich na pionowe – tygrys skacze w przestrzeń, a szylkret staje się przezroczysty. Niektóre *pipy* mogą mieć progi z jadeitu – gładkie i zielonkawe jak niezmacona woda – lub z masy perłowej. Ostatni z materiałów zwyczajowo służy do różnego rodzaju inkrustowanych wykończeń instrumentu. Rewers *pipy* dekorowany jest inkrustacją w formie kaligrafii wyrażającej krótką, impresyjną sentencję. Takich małych dzieł sztuki wisiało na zapleczu herbaciarni wiele. Do tego flety *xiao* i skrzypce *erxian* – wśród nich także stare, używane instrumenty o szlachetnej patynie.

Bez względu na wiek instrumentu *xiao* i *erxian* muszą być wykonane ze starego bambusa (z winy rabunkowej działalność człowieka coraz mniej jest takich w naturze i coraz wyższe osiągają ceny). Mistrz-budowniczy instrumentów idzie do lasu, aby poszukać najstarszych łodyg o określonej liczbie poziomych segmentów i ich proporcji w stosunku do menzury *xiao*. Następnie bambus wykopuje się z korzeniem. Po obcięciu odnóży i oszlifowaniu korzeń staje się piękną dekoracją

u zakończenia fletu albo wieńcząc szyjkę *erxian*, niczym ślimacznicą w skrzypcach. Charakter materiału i jego wykończenie sprawiają, że instrumenty stają się tak bardzo organiczne w wyrazie i brzmieniu, jakby fizycznie chciały realizować jedno ze znaczeń nazwy *nanguan*: „południowy flet”, które ja interpretuję jako „powiew południowego fletu” albo najlepiej „południowy wiatr”. Kolejny instrument w klasycznym składzie *nanguan* to *sanxian*, rodzaj banjo z bardzo długą szyjką i pudłem obciągniętym skórą pytona. Dobry instrument pod światło będzie prześwitywał jak witraż o węzowym wzorze, a po puknięciu palcem słychać będzie głęboki i dźwięczny rezonans. Znalazłam doskonały *sanxian* w tutejszej pracowni. Pozostałe elementy instrumentarium *nanguan* to szereg małych instrumentów perkusyjnych, wśród nich jeden bardzo ważny: *pai*. To kołatka o znaczeniu podobnym do batuty. Muzyk wychyla *pai* do przodu i do góry zgodnie z metrum, a na zakończenie taktu uderza. Ten dźwięk staje się końcem starego i początkiem nowego taktu – istnieje więc w *nanguan* metrum „na jeden”. Ten prosty instrument nabiera szczególnego znaczenia wówczas, gdy zdamy sobie sprawę jak odległy jest jego rodowód. Oglądamy go na obrazach jeszcze z okresu dynastii Tang. Dostrzegamy tam również *pipę*, niemal taką jak *nanguan pipa* i podobne do *xiao* flety. Czyżby na tych zwojach grano muzykę *nanguan*? Choć niektórzy tak sądzą, twierdzenie to byłoby raczej przesadą, ale niewątpliwie w muzyce *nanguan* przetrwały jakieś cechy muzyki widzianej na obrazach z czasów dynastii Tang i Song, a właśnie *pai* mógłby tego dowodzić. W warsztacie na tyłach herbaciarni znajdowały się przeróżne kołatki *pai*, ze szlachetnych odmian drewna. Ale wówczas nie wiedziałam o tym prawie zupełnie nic. Tej nocy na próżno usiłowałam zasnąć. Z przejętym sercem leżałam w zimnej smudze podmuchu klimatyzacji. Nazajutrz miałam już umówioną nauczycielkę i nową, własną *pipę* w rękę. To był początek przygody.

Pierwszym wyzwaniem była nauka tekstu. Język minnański posiada od dziewięciu do dwunastu tonów i jak twierdzą ci którzy próbowali - pozostaje nie do nauczenia nawet dla Chińczyków, jeśli od początku się nim nie posługiwali. Jest on jednym z najstarszych języków chińskich dotąd używanych. Inna odmiana minnańskiego występuje w Fujian i na Tajwanie. W muzyce *nanguan* obowiązuje wyłącznie dialekt z Quanzhou. Dlatego też wszyscy spoza Quanzhou, zaczynają rozczytywanie utworu od nauki wymowy tekstu, zapisując sobie na marginesie wskazówki fonetycznie, albo nagrywając wymowę nauczyciela na dyktafon. Konieczne jest zatem posiadanie mistrza. Jest to powód dla którego muzycy *nanguan* gromadzą się w klubach. Zyskują wówczas gwarancję pomocy merytorycznej oraz towarzystwo niezbędnych do wspólnej gry członków zespołu. Ponieważ poza kilkoma wyrazami nie mówię po minnańsku, a zatem pierwszą dużą pracą domową było nauczenie się i recytacja na pamięć całego tekstu pieśni. Miałam wrażenie, że język ten składa się niemal z samych samogłosek, zróżnicowanych za pomocą dźwięku nosowego,

przydechu, zamkniętych ust (mormorando) czy też otwartych ust – z zamkniętymi lub otwartymi zębami, z normalnymi lub podniesionymi kącikami ust. Nauka recytacji z pamięci nie była zadaniem możliwym do wykonania w jedną noc. W międzyczasie rozpoczęłam więc ćwiczenie najprostszych elementów gry na *pipie*. Jak się wkrótce okazało, przyszło mi uczyć się tego w niezwykle trudnych warunkach.

Zostałam zaproszona w podróż do gór Wuyi. Nie zastanawiając się ani chwili, zabrałam ze sobą *pipę* i nagranie wymowy minnańskiej. Po cichu powtarzałam na pamięć słowa pieśni podążając za głosem nauczycielki nagranych na dyktafon. Wokół mnie wirowało szaleństwo jazdy pociągami drugiej klasy. Przedziałów nie było. Ludzie bez ustanku przemieszczali się z ruchliwością mrówek (cecha chińska), a z megafonów przez całą drogę nadawano reklamy produktów. Prawie każdy pasażer coś jadł, przeżuwał, szeleścił bądź pachniał suszonym mięsem albo rybą. Ujgurska babcia w podwiniętym *hijabie* biegała za wnukiem. W pewnej chwili konduktorki wtargnęły z megafonem i promocją remedium na wszystkie dolegliwości świata. Wysokie tony ich głosów podawały słowa w zawrotnym tempie, mieszając się z podkładem radiowęzła reklamującego równolegle inne produkty. Od kilku godzin powtarzałam tekst na pamięć, zastanawiając się jak podejść do ćwiczenia na *pipie* w miejscu publicznym. Obserwując sytuację doszłam do wniosku, że moja gra będzie tylko dorzuceniem symbolicznych „trzech groszy” do tego kolorowego, zwariowanego tłą. Wyjęłam instrument i zaczęłam ćwiczyć wyjątkowo denerwujące tremolo. Wzbudziło to pewną sensację („Europejka na *pipie*? Taka dziwna *pipa*... to może europejska?”), ale skończyło się na miłej wymianie przysmaków i mogłam grać dalej.

Wkrótce nastąpiła przesiadka do terenowego jeepa-weterana i wspaniała jazda poprzez górzystą prowincję. Nie da się opisać tej świeżości i energii podróży. Zmieniające się widoki gór zdawały się być czytaniem chińskich *shanshui* z papierowych zwojów. Przemierzanie niemal zapomnianych, miejscami zapadających się, krętych dróg, biedne, ale piękne i pełne prostoty wsie skąpane w opalizującej poświacie zmierzchu – powodowały doznanie cudu życia i szczęścia, że takimi pięknymi chwilami można się cieszyć... Nieopisana witalność przyrody która nam towarzyszyła była jak wiatr w żaglach, pchający nas wszystkich w ekscytujące nieznane – tych dzikich terenów i naszych dzikich dusz. Na tyle samochodu podróżowała *nanguan pipa*. Po cichu wiedziała, że stanie się przewodniczką moich dalszych podróży.

Tradycja muzyki *nanguan* wymaga nauki na wszystkich używanych w niej instrumentach. Jeden z nich, flet *xiao*, pozostaje szczególnie trudny do opanowania. Technika zadęcia zajmuje kilka miesięcy codziennej, męczącej nauki. Nic dziwnego, że na początku spędziłam szereg godzin na

bezsuktecznej walce. Rok później Adu powiedział mi tak: „bierzesz flet i po prostu grasz” – następnie śmiejąc się wykonał wirtuozyjne wywijasy. To miała być pierwsza lekcja gry. Poszłam zaraz do pobliskiego parku pod wielkie drzewo figowca, bo było niezmiernie upalnie. Świat wokół mnie falował w gorączce, niczym w krzywym zwierciadle. Nieopisany żar słońca podsycany był dodatkowo zgiełkiem miasta podobnego mrowisku, w którym słycać głos klaksonów, aut w korku oraz intensywnych robót budowlanych. Ale pod starym figowcem, pod jego nobliwym, łagodnym parasolem wspartym na żylastych, wyciągniętych ku niebu konarach, panował cień, cisza i spokój. Wyraźnie dało się odczuć granice między światem wewnętrznym i zewnętrznym. Siedziałam pod drzewem odcięta od świata, usiłując okiełznać *xiao*. Bezskutecznie. Dmuchałam i nic. W końcu, zmęczona, zasypiałam pod liściastym baldachimem. Dopiero znacznie później, w Taipei National University of the Arts, gdzie studiowałam w ramach stypendium na wydziale muzyki tradycyjnej, po trzech miesiącach ciężkiej pracy udało mi się nauczyć prawidłowego zadęcia w *xiao*.

Dźwięki *nanguan* poprowadziły mnie do wielu niezwykłych miejsc i do wspaniałych ludzi. Poznałam muzyków z wielu klubów *nanguan*, odbyłam stypendium w najlepszej uczelni artystycznej na Tajwanie, śpiewałam na tajwańskich tradycyjnych wiosennych festiwalach *nanguan*, poznałam też gwiazdę *nanguan* Wang Xinxin, którą na początku znałam tylko z okładek płyt i marzyłam, aby kiedyś ją spotkać. Czasami niespodziewanie napotykałam osobę przechowującą u siebie bardzo stare instrumenty. Tak było w przypadku pana Cai, potomka XIX-wiecznego milionera z Jinjiangu. Słynny ze swojego bogactwa przodek pana Cai dorobił się wielkiej fortuny na Filipinach, a po powrocie wybudował rodzinie ogromną rezydencję, na którą składa się ponad 24 domostw. Zauważyłam u pana Cai kilka niezwykłych instrumentów wiszących na ścianie. Zaciekawily mnie, zapytałam więc o nie. Po chwili oglądaliśmy je razem i spontanicznie graliśmy. To były relikwie historii: szlachetne, nasączone trudnymi dziejami. Znane są opowieści o emigrantach z Południowego Fujianu, którzy wyruszali do obcych krajów w poszukiwaniu szczęścia, za jedyny wartościowy bagaż mając *pipę* czy *xiao*... Bardzo możliwe że instrumenty u pana Cai miały za sobą podobne koleje losu.

Jedno ze spontanicznych spotkań wydaje mi się warte wspomnienia. Poznany przypadkowo w Quanzhou pan Xiao (który wspaniale grał na *xiao*) zaproponował wspólny wieczór mnie i mojej znajomej tymi słowy: „jeśli chcecie posłuchać muzyki *nanguan*, wsiadajcie do auta i ruszajcie za nami!”. Nie miałam pojęcia dokąd jedziemy. Było ciemno. Wjechaliśmy na pilnie strzeżony teren. Przez moment poczułam się nieswojo. Po chwili okazało się że jesteśmy w najpotężniejszej fabryce obuwia w Fujian, która zatrudnia aż 10 000 ludzi. To „361 stopni”, najlepsza marka chińskich butów sportowych. Właściciel tego ogromnego biznesu to skromny, starszy pan nie sprawiający

ważenia wpływowego multimilionera, którym w rzeczywistości jest (nazajutrz miał w planach spotkanie z prezydentem Chin, panem Hu Jintao). Przywitał nas w swojskim sweterku, z papierosem w ustach. Po pokazaniu budzących dech w piersiach linii produkcyjnych zakładu zaprosił nas do swojego biura. Był to bardzo przestronny gabinet z szafami pełnymi instrumentów, ze sceną oraz gronem muzyków gotowych do gry. "Muszę ci powiedzieć że nie postępujesz mądrze" – rzekł do mnie szef strząsając papierosa – „rozumiesz odwrotnie niż nakazuje logika. Najpierw musisz zarobić pieniądze, a dopiero potem możesz zajmować się muzyką. Spójrz na mnie!". Muzykowali aż do późnej nocy. Pan dyrektor grał na przenikliwej trąbce *suona*, i jak na wodza przystało – skutecznie zagłuszał cały zespół. Spotkanie zakończyła typowa, regionalna kolacja z wodnistą zupą – wywarem na małżach i imbirze. Pycha!

Jest jednak pewien smutny aspekt rzucający się cieniem na wszystkie historie, które tutaj opowiadam. Oryginalna kultura minnańska stopniowo zanika, a wraz z nią *nanguan*. Niestety dzinsy, *kekoukele* (czyli Coca-Cola) i cukierkowy, chiński pop stanowią łatwiejszą treść aniżeli dawna poezja chińska i wyrafinowana estetyka. W dzisiejszym zglobalizowanym świecie młody Chińczyk poznaje najpierw disco czy obcą mu kulturowo muzykę Chopina, a dopiero potem muzykę własnych korzeni. Bywa więc, że tradycyjna muzyka chińska brzmi tak samo egzotycznie dla Chińczyków jak dla nas. Polityka kulturowa Chin nie sprzyja popularyzacji oryginalnego stylu *nanguan*, podobnie jak krytyczny dla świata muzyki tradycyjnej konserwatyzm środowiska *nanguan* na Tajwanie. Do tego dochodzą jeszcze polityczne niesnaski i historyczne zaszłości, w konsekwencji których podupadła szczytna idea międzynarodowych zjazdów muzyków *nanguan*. Czy można cokolwiek zrobić w tej sprawie? Tak. Okazuje się, że ta sama globalizacja, która wypiera tradycyjną sztukę w Chinach i na Tajwanie jest w stanie przynieść ją do nas, a my możemy ją popularyzować. To od nas zależy, co przetrwa nasze dzieje. Przede wszystkim trzeba przestać mówić o kryzysie autorytetów, a nauczyć się samemu czerpać z kultury zglobalizowanego świata, który daje nam szeroki wachlarz wyboru autorytetów. Nasz postęp cywilizacji przeszedł już z etapu pojedynczych, narzuconych autorytetów, na bogactwo wielu kultur i wielu filozofii. To wymaga od nas samodzielności i inteligencji, bo przyswajając elementy innych tradycji nie możemy zaniedbać tej własnej. Najlepszym środkiem transferu wartości kulturowych jest oczywiście sztuka. Ale żeby sztuka mogła dojść do głosu i stać się dostępna dla szerszej publiczności – potrzebuje mecenatu, promocji, sceny, galerii... I tu się pojawia wielka, doniosła rola festiwalu artystycznych. Prezentując oryginalną muzykę korzeni decydujemy o sile jej przetrwania. To wytrwałość artystów i ciekawość świata publiczności zadecydują o kontynuacji lub ewolucji ginących dziedzin sztuki. Dla wielu z nas najdostępniejszą formą podróży po świecie będzie ta, którą odbędziemy za pośrednictwem koncertu, wystawy, czy innego wydarzenia kulturalnego. I częstokroć dotrzemy do sedna sprawy

nie wydając pieniędzy na przelot i wizę...

Wspomnienia o plaży w Quanzhou napęłniają mnie tęsknotą. Kroki na piasku – nadal tam są. Pozostały na zawsze: ślady moje, taty, mamy, brata, przyjaciół... Zlały się z morzem, morze zaś nieustannie zlewa się z niebem – albo odbijając księżyc i gwiazdy, albo przejmując kolor poświaty o zmierzchu, aż ztraca się lina horyzontu. „Nawet najdalsza podróż zaczyna się od pierwszego kroku” – powiedział chiński myśliciel Laozi. I tak też się stało.